Rozmaitości

Dnia 29. Grudnia | N^{er.} 52. | Roku 1840.

ROZKOSZE MILIJONOWEGO PANA.

(Z francuzkiego pana Mery.)

(Dokończenie.)

Niedługo trwało, a wszyscy podróżni na ląd wysiedli, sam tylko Szoffield na pokładzie pozostał. Nie mógł znaleźć swego paszportu i zapomniał nazwisko, którego mu wierny swéj powinności urzędnik w *Alien Office* za dwieście funtow odstąpił. Ilekroć go urzędnik policyi zapytał: »Jak się wpan nazywasz?« zawsze pokazywał na swój ogromny pugilares, w którym zapisane były nazwiska wszystkich nożowników na całym ucywilizowanym świecie, i upraszał migami zbirów, aby mu paszportu szukać pomogli. Nareszcie na spodzie w tajnym schowku pugilaresu znalazł paszport, i dopiéro teraz się dowiedział, że Morfieldem się nazywa.

W hotelu *de la Victoria* wszystkie pokoje zajmowali Anglicy; Turnpiki, Dulwichy, Bołstony płynęły doń strumieniem, rzekłbyś, że cała Tamiza z Anglikami doń płynie. Gdy Szoffield bez służącego, bez powozu, bez żony i bez dziecięcia wszedł do hotelu, gospodarz, pan Martin, zaledwie przyjąć go raczył.— Zachciało się mu jeść; w jadalni leżał na stole długi spis wszelkich potraw, jakie tylko za pieniądze mieć można. Szoffield poczuwając się do wykroczenia, którego się na strażniku w swéj ojczyźnie dopuścił, nie wierzył z początku swoim oczom gdy przeczytał:

Ox tail soup.
Fihs of every sort.
Meat pies.
Rump Steack...

Zadumawszy się na chwilę, westchnął żałośnie: »Tu zupełnie tak jak w Birminghamie! — Przecież to rzecz osobliwsza, w Birminghamie ani słowa nie czytałem po włosku, a tu widzę, wszystko jest po angielsku; jednakże przyznać muszę, iż Birmingham jest nierównie schludniejszy niż ten brudny Neapol. A przecież Anglicy mają w tém mieście jakieś osobliwsze upodobanie, kiedy się z taką chciwością do niego cisnął«

Micali wynalazł tymczasem swego nowego pana. Szoffield zapuścił się w długą rozmowę z tym wesołym chłopcem. »Włochy bardziéj są zangielszczone, niźli sama Anglija. Nawet i w Rzymie pełno jest ziomków twoich milordzie; jeden tylko papież nie jest Anglikiem. Ale powiedz mi z łaski swojéj milordzie, czy dla rozrywki do Neapolu przyjechałeś?«

»Nie inaczéj, dla saméj rozrywki, podobnie jak wszyscy inni; jestem majętny, i życzę sobie być szczęśliwym, chciałbym użyć rozkoszy w świecie.«

»Więc w Anglii nie użyłeś ani szczęścia ani rozkoszy?«

»Użyłem tam tego wszystkiego, co i drudzy.«

»Jakże tam bawiłeś się milordzie?«

»Jeździłem konno i w powozie, czytywałem *Quarterly Review* pana Hemblego, kupowałem rękawiczki... cóż więcéj można czynić, gdy człowiek jest bogaty i ma czas wolny.«

»Słusznie... a potém udałeś się do Włoch dla...«

»Dla czynienia tu tego wszystkiego, co drudzy czynią. Anglicy w tym kraju zapewne

bardzo dobrze się bawią, gdyż oni są tu prawie wszyscy.«

»Przekonasz się o tém milordzie. Czy długo zamyślasz bawić we Włoszech?«

»Nie wiém. Czy Anglicy tu zwykle długo bawią?«

»Lordowie i członkowie izby gmin przebywają tu przez cały przeciąg feryjów parlamentu. Bogaci Anglicy nie mający urzędowéj posady, jeżdzą całe swoje życie z Neapolu do Wenecyi, a zwykle schodzą z tego świata we Florencyi. Na cmentarzach w Florencyi nié masz jak tylko same kości angielskie. Jednakże powiedzieć trzeba, iż w Florencyi miło jest rozstawać się z tym światem.«

»Wszystko co mi mówisz, zdaje się mnie przekonywać, iż we Włoszech lepsza jest wygoda niżli u nas; włoskie ulice mają zapewne obszérniejsze chodniki, piękniejszy bruk, i jaśniejszy gaz niżli u nas....«

»Posłuchaj mnie milordzie, ja znam Angliją dokładnie, ale Anglików dotychczas pojąć nie mogę. Ci ludzie stawiają sobie najwygodniejsze domy, w których mnóstwo jest mebli, depcą po najmiększych kobiercach, prowadzą długie, w prostych linijach ulice, oświetlają noc jasnym gazem, wykładają podłogę w pokojach swoich tak miękko jak aksamit, a gdy w domu i w miastach swoich urządzą sobie bardzo wygodne i przyjemne życie, wtedy wsiadają do powozu i przybywają tu, gdzie najporządniejsze domy, w porównaniu z ich domami, są liche lepianki, a ulice w porównaniu z angielskiémi, prawdziwémi torturami być się wydają. Objaśniéj mi to milordzie!«

»Ja... Micali... ja ci nic nie objaśnię, bo—bo mnie samemu ciemno. Oto powiém ci szczérą prawdę, że ja nie jestem lordem, ani szlachcicem, ani uczonym... Ja jestem tylko zwyczajnym rękodzielnikiem i pracowałem lat czterdzieści dla uzbiérania majątku. Postarzałem się w pracy, i chciałbym teraz za grube pieniądze moje, cokolwiek być szczęśliwym. Już w piętnastu leciech robiłem trzonki do nożów od piątej godziny z-rana do 10téj w wieczór, kartofle i podpiwek były moim posiłkiem; w niedzielę czytałem przez dzień cały Pismo Swięte. Jeszcze téj ostatniéj zimy prowadziłem ten sposób życia. Cóż ci mam więcéj powiedzieć? Oto w ostatnich dniach zaczęło mi się tak nudzić, że sobie rady dać nie mogłem. Zamyśliłem więc czémprędzéj użyć tego świata, nim śmierć mnie zaskoczy. Pomóżże mi wynaleźć co takiego, Micali, po czémbym poznał, że jeszcze żyję i że jestem panem milijonowym.«

Micali uśmiéchnąwszy się, z litośną miną wstrząsnął głową.

»Pożal się Boże!« rzekł półgłosem sam do siebie, »trzy części swego wieku obrócić na sprzedawanie nożów i zbiéranie pieniędzy... Chciałbym wiedzieć, ażali ten napół nagi Lazaroni, który nigdy w życiu swojém nie pracował, nie jest szczęśliwym! Ja sądzę, iż szczęście tylko czérstwemu i silnemu ubóstwu towarzyszy, dla którego morze jest światem, a promień słońca poddaszem.«

»*My god,* Micali«, przerwał mu Szoffield, wszak ty gadasz jak książka!«

»Ach, przebacz milordzie, ja tylko sam do siebie mówiłem... Lecz patrz tam na dole, na zielonéj, kwiatami uśliczniońéj wyspie żyją ubodzy rybacy; liche tylko chaty i sieci są ich majątkiem; morze i słońce ośniedzają ich lica. Nie sąż oni zazdrości godni? Mają hoże i zdrowe żony, rzeskie ich dzieci igrają ochoczo po wybrzeżu, żyją w wodzie z rybami i małżami. Pod wieczór czeka ich uczta, jakiéj im rozległe morze, ta najpieczołowitsza matka dostarcza! Swobodna praca, wesołe piosnki są ich dziennem zatrudnieniem; w tych chatach pędzą przyjemniejsze wieczory, niżli bogacze w swych najpyszniejszych salonach. A nocy! ach co za nocy!... dla nich wschodzi złote słońce, dla nich iskrzą się jak brylanty gwiazdy, dla nich wzrusza się głębokie morze i kwitnie drzewo pomarańczy! Patrz pan na tych trzech ludzi, trzech biédnych rybaków, trzech żebraków morskich, zaiste, oni w swojém życiu więcéj szczęścia użyli, a niżeli wszyscy milijonowi panowie w całéj Anglii, zacząwszy od króla giełdy kupieckiéj, aż do wpana, który jesteś bogatym nożownikiem.«

Szoffield rozdziawiwszy gębę, słuchał jak niemy chłopca rozprawiającego tak filozoficznie o rzeczach, o których dotychczas ani się mu nie śniło.

Micali zaś spojrzawszy w zatokę morska, która się przed oknami domu roztaczała, uśmiéchał się jéj wesołością. —»A ty Micali«, zapytał go Szoffield po niejakiém milczeniu, »jestżeś szcześliwym?«

»Co do mnie, służyłem u cztérech panów, jedynie dla tego, abym ich mojém szczęściem upokorzył.«

»Co za tyran z ciebie. Zapewne u angielskich panów?«

»A juźci u angielskich, a wszyscy byli okropnie bogaci.«

»I cóż się z niémi stało.»

»Jednego za drugim pogrzebałem; wszyscy cztérej leżą na cmentarzu *Campo de San Spirito*. Wszyscy znajdowali się w dobrym stanie zdrowia, byli otyli, mocnéj budowy ciała, a przecież pomimo wszelkie zabiegi podróżowania pomarli. Ciérpieli oni na chorobę życia, i ta ich w grób wpędziła.«

»Micali, zmiłuj się przestań! Słysząc cię tak mówiącego, chmurzy mi się w głowie i *splénu* dostaję. Zbiérz się, pójdziemy trochę na przechadzkę.« Micali oprowadzał wszędzie swego pana. Szoffield we wszystkiém co widział, nie upatrywał nic osobliwszego. Utrzymywał on: że Birmingham ma piękniejsze i schludniejsze ulicy. Gruzy Pompei nudziły niezmiernie poczciwego nożownika, a w *Campo di Monte* poziéwać zaczął. Po upływie dni cztérech, strudził się do upadłego i oświadczył Micalemu, że się już dość wszystkiego napatrzył. Jedna tylko *psia grota,* uzyskała jego pochwałę. Cicerone okazując ją, rzucił weń trzy psy na ofiarę. Gdy biédne te źwiérzęta w okropnych konwulsyjach konały, obok Szoffielda stał jakiś ziomek jego, który bolesny ich zgon z wielką radością dla imionnika swojéj żony rysował. Szoffield tą powabną psią grotą nie mógł się dosyć nacieszyć i przenosił ją nad wszystkie starożytne zabytki włoskie. Razem przyszło mu do głowy zapytać Cycerona, dla czego ta grota tak wielki wpływ na nerwy psów wywiéra, i mocno się ucieszył, gdy tenże z uczoną miną mu odrzekł: »*La Solfatara, la Solfatara!*« gdyż się już był nauczył, iż to słowo *siarkę* oznacza.

Tym sposobem zwidzono wszystko, i w całym Neapolu nic już więcéj widzieć nie było: jak tylko morze, słońce, swobodę, wesołość, muzykę, miłość i wiosnę. Każdy przybywający statek angielski wysadzał na ląd całe gabinety naturalijów z samych rodzin angielskich; długa ulica Toledo podobnie jak w parlament *street,* była niémi nabita. Anglicy w Neapolu nie różnili się ani na włos od Anglików w Londynie, tak tu tak i tam chodzili poważnie w milczeniu i zadumani, i nikomu, uchowaj Boże, nie ustąpili z drogi, jak tylko jednym powozom.

»Słuchajno Micali«, rzekł Szoffield do swego towarzysza dnia piątego z-rana. »Gdy w tym kraju włoskim wszystko jest takie samo jak i w Anglii, więc niewarto było wyjeżdzać z państw naszéj królowéj. Bo cóż tu osobliwego? *beefsteaki* nicpotem, porter ani go pić, łóżka lub wązkie lub krótkie, wschody za wysokie, w nocy jak w garnku ciemno; ciekawy jestem, czego tu Anglik używać może? A prawda, prawda, zapomniałem, *psia grota! Psia grota* bardzo jest piękna, ale w *Stafford Hill* możnaby przy gościńcu ku Birmingham także mieć taką. Tam także jest w skale dziura, obok bieży kolej żelazna, a psów jest podostatkiem... Przyznam ci się mój Micali, że mnie znowu straszna, śmiertelna nuda napadać zaczyna. Niekiedy zdaje się mi, jak gdyby mi coś piersi tak zapiérało, iż odetchnąć nie mogę; jak gdybym na zadławienie umiérać musiał! — Nic mnie już nie cieszy i nie bawi, niczego się nie spodziéwam, za niczém nie tęsknię, niczego nie chcę! Tu dzień niezmiernie długi. Godziny wloką się jak chrome konie pocztowe. Mówią mi: że o dwunastéj, o piérwszéj, o drugiéj coś nowego zobaczę; te godziny idą kulawo, ale nadchodzą nareszcie, a ja, jakiem się nudził, tak się i nudzę! *My god! My god!* jakiż ja biédny człowiek! Słuchajno Micali, jak ci się zdaje, czy wszyscy ci Anglicy w tym przeklętym Neapolu zostaną? Mnie się zdaje, iż to miasto byłoby weselsze, gdyby ich tu nie było; oni wszędzie, gdzie się tylko pokażą, dżumę nudów z sobą przynoszą. Czemu oni nie jadą do Florencyi, aby się tam pogrzebać kazali?«

»Bądź pan cierpliwym, już oni tam pojadą; ale teraz nie mogą, bo im właśnie wybuch Wezuwijusza zapowiedziano; otóż ziéwając

czekają na wyziew Wezuwijusza w ulicy Toledo, i długo jeszcze nań czekać będą. Przypatrz się pan tému Wezuwiuszowi, czy nie widzisz, jak on drwi z ziomków twoich? Oni stoją gromadnie z otwartémi gębami – a on im nic a nic nie wyrzuca! Dzisiejszego poranku był pan Bokston u angielskiego posła z zapytaniem, czyby nie mógł swoim wpływem tęgo sprawić, aby Wezuwijusz wziął na wymioty. Poseł dał mu w odpowiedź: że będzie miał wzgląd na reklamacyję pana Bokstona. Nikt się nie śmiał z tego żądania. Albożto Anglija nie jest wszechwładną? Ona jeżeli tego będzie potrzeba, jeszcze temu niegrzecznemu Wezuwijuszowi za to wojnę wypowiedzieć gotowa: że się waży starożytnéj Anglii, która się nudzi, tę zabawną krotochwilę odmówić!«

»Co do mnie, mój Micali, mnie wasz Wezuwijusz nic nie obchodzi, ja nie myślę dać się jego ogniem upiéc, a potém nie jestem tak stary, abym sobie miał życzyć, iżby mię jego popioły zasypały. Ci Anglicy tak już są życiem przesyceni, że jak myśliwi na źwierzynę, tak oni na rany i guzy czatują. Co do mnie, precz z tąd, precz co prędzéj!«

»Dokądże się myśli udać Sir Szoffield?«

»Nie wiém.«

»Może do Rzymu?«

»Czy może znowu dla zobaczenia owych starych kamieni, które wy ruinami nazywacie, albo i Anglików, których ja przez lat pięćdziesiąt i ośm, w domu dosyć się napatrzyłem?«

»Pojedziesz pan do Florencyi?«

»Nie. Jeszczebym nie chciał umiérać.«

»A gdybyś pan małą podróż do Francyi odbył?«

»Nie, tam nie pojadę: ojciec mój nie mógł cierpiéć Francuzów.«

»A, to ważna przyczyna.«

»Lecz dokądże pojadę, przecież gdzieś jechać muszę, gdyż jestem panem milijonowym, i chciałbym czegoś użyć za swe pieniądze.«

»Więc wróć pan do Anglii.«

»Ba, wróć pan; wszak ci wczoraj powiedziałem, że tam wrócić nie mogę; John wszędzie mnie z piestukiem ścigać będzie, a potém strażnik, któregom przejechał, skaléczył, a może nawet na śmierć ognistym osłem stratował!«

»A przecież nakoniec gdzieś pan osiąść musisz?«

»I ja tak sądzę, ale gdzie, to tylko Bogu wiadomo.«

»A gdybyś też pan przez niejaki czas jeszcze w Neapolu zamieszkał?«

»Nie, nie, jabym tu umarł.«

»Wszak tu mógłbyś codziennie zwidzać *psią grotę*.«

»Micali, ty nie uwierzysz, cobym ja dał za to, gdybym został ubogim. Czuję, iż mój milijonowy majątek z każdym dniem życie mi skraca!«

»Więc się go pan pozbądź.«

»Jakim sposobem?«

»Oddaj się grze.«

»Tobym mógł wygrać!«

»Więc się ożeń.«

»W pięćdziesięciu i ośmiu latach? ktoby nie chciał, toby mnie zdebankował!«

»Więc dawaj bale.«

»To dla mnie za głośno, nigdy nie byłem miłośnikiem hucznéj zabawy.«

»Ależ u licha, już nie wiém coby pana rozerwać mogło.«

»Mnie się zdaje, ja bym chciał znowu robić noże; co nocy śni mi się, że je kuję, przyrządzam, ostrzę, poleruję, i w tym śnie jestem szczęśliwy.«

»Więc rób pan znowu noże, kup sobie sklep przy ulicy Toledo.«

»Ja sądzę, iż klimat tutejszy nieprzydatny do przyrządzania dobréj stali.«

»Więc rób pan pośledniejszego gatunku niż w Birminghamie. Zaręczam, iż na nie odbyt miéć będziesz, a niepotrzebujesz się tém martwić, jeżeli ostro krajać nie będą.«

»Tak, dobrze mówisz, zostanę znowu nożownikiem. Chceszże być moim spólnikiem Micali?«

»Sir Szoffieldzie: byłem ci życzliwy, boś mi się jednym z najlepszych Anglików być zdawał. Jednego poranku widziałem cię płaczącego na pokładzie okrętu; przyznam ci się, iż jeszcze nigdy łez w oku Anglika nie widziałem, i od téjto chwili postanowiłem usłużyć ci we wszystkiém, co tylko w mojéj mocy będzie. Z tego powodu starałem się poznać twój charakter, i poznałem,

iż więcéj masz szczęścia, a niżeli go znieść możesz. Porzuć więc to próżniackie życie. Urodziłeś się na rękodzielnika, przywykłeś do nieustannéj i ciężkiéj pracy, pracujże mój przyjacielu. Żółte *glacé* rękawiczki więcéj twym rękom ciężą, a niźli sto funtów stali. Ja postaram się dla ciebie o piękny sklep i warsztat, i wyszukam zdatnych czeladników.«

»Niech ci to Bóg nagrodzi! A ty będziesz moim spólnikiem, i nie dasz do téj spółki ani szylinga.«

»Nie, nie; tego ja uczynić nie mogę«, odrzekł Micali z uśmiechem. »Wpan i bezemnie szczęśliwym będziesz.«

»A dla czegoż tego uczynić nie możesz, Sir Micali?«

Micali znowu się uśmiéchnął. »Posłuchaj mnie Sir Szoffieldzie: jesteś milczącym, poczciwym człowiekiem; powierzyłeś mi swoję tajemnicę, która podług twego zdania, gdyby się wydała, pociągnęłaby za sobą najgorsze skutki. Otóż ja chcę być nawzajem dla ciebie otwartym; oto jest mój paszport, przeczytaj, a dowiész się, kto jestem.«

Szoffield przeczytawszy, odskoczył na trzy kroki.

»Jestem«, odrzekł Micali z uśmiéchem, »jestem książę P... M... przyjaciele moi zowią mnie filozofem Rossyjaninem; obrałem sobie Anglików tak w domu jak i w podróży za szczególny przedmiot badań moich. Dla obeznania się gruntownie z charakterem i sposobem ich życia, służyłem już w cztérech angielskich domach za lokaja, i spodziéwam się, iż Wielka Brytanija nie raz jeszcze o mnie usłyszy.«

Szoffield nie mógł sobie dać rady w uniewinnianiu się przed swoim ex-lokajem. — »Nie bądź téż dzieckiem sir Szoffieldzie«, rzekł do niego uprzejmie książę filozof rossyjski; »jestem właśnie takim, jak i wpan, doznaję takichże samych nudów jak i wpan; więc nie mamy sobie obadwaj nic do zarzucenia. Ja będę piérwszy, który u wpana tuzin nożów kupię. Przyjdź dzisiejszego wieczora do teatru *San-Carlo* i spytaj się o lożę księcia P... M... żegnam wpana.«

Pod wieczór wystroił się Szoffield jak najokazaléj, i pospieszył do teatru *San-Carlo*. Nie widział on w swojém życiu innego teatru, jak tylko *Theâtre-Royal* przy nowéj ulicy w Birminghamie: małą salę, liche utwory dramatyczne, aktorów śpiéwających, a operzystów deklamujących.

W oznaczonéj loży zastał księcia stósownie do jego stanu ubranego. Po wielu ceremonijach usiadł na wskazaném miejscu. Dawano *Normę*, Duprez i Persiani śpiéwali. Byłto wieczór bardzo przyjemny. Anglicy popijali sorbet i grali po swoich lożach wista; ich godne małżonki patrząc przez lorynetki na Persiani, mówiły jedna do drugiéj: *very nice, very nice*, jeden z bankierów neapolitańskich zasnął w swojéj loży.

Szoffield przypatrywał się to Anglikom, to Angielkom, potém przez chwilę słuchał muzyki, a nakoniec poszedł za bankiera przykładem.

Książę spostrzegłszy to, napisał ołówkiem następujące słowa na tabliczce, którą milijonowemu nożownikowi w kieszeń wsunąwszy, jako autograf w pamiątkę pozostawił: »Wygórowana cywilizacyja, jedynie do materyjalizmu skiérowana, rodzi chorobę duszy, która ciało zabija. Długa, prosta ulica, jak ją budowniczy narysował, gładka i czysta, jak aleja w źwierzyńcu bogacza, dobrze utrzymywany gościniec, dóm, w którym prawie każdy palec ma dla siebie osobny pokój, są bezprzecznie pięknémi wygodami, tylko szkoda wielka, że człowiek na to się nie urodził, aby przez całe swoje życie po aksamitnéj przechadzał się podłodze; i nieprzyjemności są do życia potrzebne. Na zbyteczną wygodę umiéra człowiek. *Spleen* urodził się w gazowém świetle przy *Oxford Street* w najpiękniejszym domu.«

»Znałem wielu bogatych skąpców, którzy z nudów poumiérali. Z początku nie mogłem ich pojąć. Wszakżeto tak łatwa rzecz, myśliłem sobie, wymieniać dukata za rozrywkę lub przyjemność jaką. Ale ci nieszczęśliwi, milijonowi panowie, mają jakiś instynkt wrodzony, który im nakazuje, aby nikomu, kogoby jeden szyling mógł uszczęśliwić, ani szylinga nie dali, gdyżby mu jego szczęścia pozazdrościć musieli! — Skąpstwo nie zawsze jest źwiérzęcą żądzą bezowocnego bogactwa, jest ono częstokroć głębokiém wyrafinowaniem, na jakie się

ludzka podłość podaje! — Anglicy sprawili we Włoszech daleko więcéj szkody, aniżeli Teodoryk i Atyla tam sprawił, bo nie mogąc znaleźć w nich środka na uléczenie swéj choroby, zniżyli kraj ten poezyjny aż do najpośledniejszéj prozy, przeistoczyli go w *table d'hôte*, w izbę dla dzieci i nianiek, i w stajnię wytworną.«

»Weźcie najlichszego Neapolitańczyka na sześć miesięcy do Londynu, udarujcie go wszelkiémi dostatkami, dajcie mu pałac, powóz i konie, dajcie mu pieniędzy ile tylko zapragnie, a przekonacie się, że nim jeszcze pół roku upłynie, już płakać będzie za swojém niebem, za swojém słońcem i swojém morzem, będzie nieszczęśliwym i tak znudzonym... jak wasi milijonowi!« —

W ośm dni późniéj czytano napis przed sklepem przy ulicy Toledo: »*Nożownik z Birminghamu.*«

Pióro, które prawdziwy ten wypadek skreśliło, było zacięte nożykiem Szoffielda. Wypadek księcia P... M... opowiadano mi na pokładzie pocztowego statku *Maria Christina*, który mnóstwem angielskiego *spleenu* był naładowany.

Szoffield jest teraz bardzo szczęśliwym: *co niedzieli zwidza psią grotę.*

NAPIER.

Jestto mąż nadzwyczajny. Gdy jeszcze był dowódzcą fregaty, mówiono o nim, że to jest szalony lord Cochrane; atoli w szaleństwie jego panuje jakaś metoda: jest on w swoich przedsięwzięciach przemyślny i wyrachowany. Możnaby go szaleńcem nazwać, ale tylko z tego powodu: że się przy każdéj sposobności z prawdziwą rozkoszą na ogień dział wystawia; nié masz dla niego nic przyjemniejszego, jak śród wrzawy, zamieszania i natłoku najzaciętszéj walki, bić się pojedyńczo, uderzać jako mąż na męża, patrzyć nieprzyjacielowi oko w oko. Z tą excentryczną osobistością połącza się w nim niespracowany, niczém nieugięty duch przedsiębierczy. W ostatniéj wojnie amerykańskiéj równie on jak i kapitan Gordon, przeprawili swoje fregaty w górę Potomaku przez tysiączne niebezpieczeństwa aż do miasta Aleksandryi, gdzie nietylko nieprzyjacielowi magazyny zburzyli, ale także niezliczonych szkód byli sprawcami. W powrocie swoim wypadło im przeprawiać się koniecznie przez ciasninę blizko brzegu, który jak kończaty klin w rzékę wystawał. W tém miejscu za krzakami skryło się cztéry do pięciu tysięcy Amerykanów, którzy plutonowym ogniem całą osadę na obiedwu fregatach za jednym razem prawie zdmuchnąć zamyślili. Lecz Gordon i Napier nie tak łatwo dali się w pole wywieść. Zbliżywszy się do niebezpiecznego punktu, przechylili swoje okręty na jednę stronę, przez co wyloty dział na drugiéj stronie wyżéj się podniosły. Prócz tego nieprzebitym murem nagromadzonych mat, żagli i t. p. zasłonili osadę okrętową przed ogniem karabinowym. Działa nabito potrójnym ładunkiem, kartaczami, kulami karabinowémi, goździami, siekaném żelazem i t. p. Tym materyjałem zaczęto ostro strychować krzaki tak dalece, iż Amerykanie nic nie wskórawszy w rozsypkę poszli. Z tém wszystkiém sam Napier nie uszedł szwanku. Pogardzając wszelką zasłoną, dla zrobienia sobie zabawki i przypatrzenia się zamieszaniu nieprzyjaciela, wyskoczył na podwyższone miejsce pokładu; wtedy w tył karku kulą karabinową ugodzonym został. W skutek téj ciężkiéj rany, głowa jego teraz cokolwiek naprzód pochylona, co osobistość tego walecznego kapitana jeszcze bardziéj odznacza. Późniejsze jego czyny są światu wiadome, a mianowicie to wzięcie floty Dom Miguelowi w dwunastu minutach. Nie z mniejszą gorliwością poświęcił się i teraźniejszéj wyprawie przeciw Egipcyjanom w Syryi. Był on jednym z piérwszych, którzy na ląd wysiedli; zrzuciwszy z siebie mundur, sypał w jednéj koszuli szańce razem z drugimi i pomagał zataczać działa oblężnicze. O wzięciu Sydonu doniósł admirałowi Stopfordowi w tych kilku słowach: »Sydon jest naszym. Jestem spruszony i bardzo głodny. Napier.« Takiemu mężowi na czele nieustraszonych majtków i marynarzy angielskich, wszystko się powieść musi, co tylko najwaleczniejszemu człowiekowi w świecie powieść się może.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 51. i obejmuje: 1) Na czém powinny się zasadzać prawdziwe ulepszenia w gospodarstwie wiejskiém. (Dokończenie). 2) Oszacowanie wartości różnej karmy. (Dokończenie). 3) Korespondencyja. Propozycyja pana Rotha, inżenijera cywilnego i fabrykanta cukru, z Molsheimu koło Strasburga we Francyi, i t. d. 4) O wrocławskim jarmarku na wełnę. 5) Wiadomości czasowe.

Stare gawędy i obrazy, napisał Kazimiérz Władysław Wojcicki, tomów cztéry z rycinami, razem stron 1317. (Warszawa r. 1840). W zbiorze tym różnych powiastek i obrazów, po większéj części znanych już z pism czasowych, w których były uprzednio drukowane, wyszczególniają się mianowicie gawędy: Stado

gołębi, Kulig, Glonka (ostatni wódz Opryszków w Karpatach z r. 1817.), Straszny dwór, Zalotnik marcowy, Dobosz, Łowiec i Wysoki zamek, obraz z roku 1594. Z kroniki miasta Lwowa. Zajmującémi są artykuły: o Hucułach, przysłowiach, topielcach, klechach, olejkarzach, dziadach, rybałtach, śpiéwakach, Cyganach, o Marcinie z Urzędowa i jego herbarzu; jakoż autor jest tam najszczęśliwszy, gdzie z oczytaniem popisać się może, i zgadzamy się z uczonym M. Grabowskim, że to jest pole jego działań literackich, na którém najprzemożniej się okazuje. W niniejszém dziele rozwinął on wiele historycznych a szczególnie biblijograficznych wiadomosci; chybia tylko, iż się często powtarza i często używa niepotrzebnych cytacyj, do których rzecz stosuje, a która po tém uczoném przystrojeniu jak mały dworek z wielką bramą wygląda. W zdaniach także nie zawsze jest oględny i wyrozumowany. Styl wszędzie gładki i można powiedzieć prawdziwie polski, przesiąkły duchem autorów naszych zygmuntowskiego wieku; opowiadanie proste, zajmujące; w dyalogach tylko nie był autor najszczęśliwszym, czego wymownym dowodem jest zwichniony dyalog o Twardowskim. Jedna z gazet warszawskich, występująca z resztą w obronie autora, jest tego zdania, że artykuły: Policzek panieński, Ślina i żarty trefnisia Smolika sumiennie wykreślić można; my podpisując to zdanie, dodalibyśmy jeszcze Gawędę konną (?), która nie wiedzieć co znaczy. Mimo to dzieło pana Wojcickiego, należéć będzie zawsze do lepszych w literaturze naszéj, jakie w roku bieżącym wyszły, i niemało przyczyni się do zapoznania nas z obyczajami naszych ojców, które, mianowicie drobnéj szlachty, z wielką maluje prawdą. Uczyniony autorowi w pewném piśmie zarzut, jakoby tylko wady kreślił a cnoty pomijał, jest zupełnie niesprawiedliwy. ***

Wyszedł z druku w Warszawie *Noworocznik na rok* 1841, pod nazwą: *Niezapominajek*, wydawany od lat kilku przez Karola Korwela. Zawiera utwory kilku znanych pisarzy dzisiejszych, a mianowicie: Magnuszewskiego, Wojcickiego, Tyszyńskiego (autora *Amerykanki w Polszcze*), Antoniego Goreckiego, Karola z Kalinówki, Stanisława z Dzikowa, i wielu innych. Rycin 5, z za-granicy sprowadzonych, między któremi jest kilka blizko nas obchodzących.

Gładysz, nauczyciel wyższy w Poznaniu, dał już do druku rozprawę swoję o powstaniu języków, która dla filozoficznego rzeczy zgłębienia, i nader zajmującego wykładu, zasługuje na to, aby i po-za zakresem sobie właściwym, znaną była.

Z Wiednia: (Medal z popiersiem Jego Ces. król. Mości Arcyksięcia Franciszka Karola, ku czci Jego wybity). Wszystkich miłośników medalów, jako też wszystkich czcicieli Najjaśniejszego cesarskiego domu, zajmie najmocniéj podwójną swoją wartością to nowe i patryjotyczne dzieło sztuki, ozdabiające i cześć oddające Wysokiéj opiece i protektoratowi Jego Ces. król. Mości Arcyksięcia Franciszka Karola dla Zakładu dorosłych ociemniałych. Jest ten medal rznięty pr. J. Scharff'a, rzeźbiarza c. k. mennicy. Główna strona przedstawia: Nader podobne popiersie najdostojniejszego Protektora, z napisem: »*Franciszek Karol Arcyksiążę Austryi.*« Strona odwrotna wyobraża: Anioła prowadzącego ślepego; z tym pięknie-pomyślanym napisem: »*Slepi stają się widzącymi*«, a w odcinku: *U Mateusza, XI.*, 5. Medal ten z wszelką słusznością policzyć można między bardzo dobrze, tak w wyrznięciu jak i w odbiciu, dokonane; jakoż Jego Ces. król. Mość najłaskawiéj nam panujący Monarcha, uznając zasługi i zachęcając do dalszych, raczył medalijonistę pana Scharff'a ozdobić za to średnim złotym medalem, przeznaczonym za sztuki i umiejętności. *A...*

Zégar włoski. Z pięknej strefy włoskiéj pochodzi odmienny sposób liczenia godzin, który dawniéj u nas i w południowych Niemczech był używany. Ponieważ we Włoszech nie tak jak na północy człowiek jest więźniem domu, ale za strop ma nad sobą błękitne niebo, na którém czyste i jasne słońce przed oczyma wszystkich zachodzi; dla tego nie zdaje się być rzeczą nienaturalną, że Włosi chwilę rozłączającą dzień z nocą, — gdyż zmrok trwa bardzo krótko — ostatnią godziną na zégarze mianują. W chwili, gdy słońce na zachodzie zapadnie, zaczynają dzwony głosić *Ave Maria*, mężczyźni odkrywają głowy, żegnają się krzyżem świętym i odmawiają krótką modlitwę. Już nie słyszysz powitania *buon giorno*, które »dzień dobry« i »dobry wieczór« oznacza, ale zamiast tego mówi się *felicissima notte*.*) W godzinę po *Ave Maria* liczy się *un ora di notte*, pierwsza godzina w noc; dodatek *di notte* jest niepotrzebny, jednakże powszechnie używany. Tak liczy się przez całą noc i drugiego dnia aż do zachodu słońca czyli do 24 godziny, podczas uderzenia któréj zawsze *Ave Maria* się odmawia. — Tym sposobem zégar włoski zależy od pory roku czyli od stosunku słońca do ziemi; 24 godzina licząc na nasz sposób, przypada to na piątą, to na szóstą, to na siódmą godzinę, w wieczór, tak, iż cudzoziemiec zawsze liczyć i redukować jest przymuszony. Nasz podział godzin zowie Włoch *ora francese*, godziną francuzką; podział ten tylko najniższym klasom ludu jest niewiadomy, zwłaszcza w Neapolu, gdzie pod panowaniem francuzkiém na nasz sposób rachować musiano. W mowie potocznéj z Włochem wymieniając godzinę, by uniknąć nieporozumienia, należy zawsze dodawać *ora francese*, albo *ora italiana*. Godziny na niektórych zégarach wież tamtejszych podzielone są tak jak w krajach północnych, na innych ujrzysz liczby tylko od I do VI, s skazówka o godzinie np. 1, 7, 13 i 19 stoi na I. i t. p. Zégarki kieszonkowe mają cyferblaty z dwudziestą-cztérma, albo na nasz sposób z dwunastą cyframi, albo też mają jedne i drugie. — A że zachód słońca zawsze w innym czasie przypada, przeto Włoch powinienby właściwie każdego dnia skazówkę na swoim zégarku to wprzód to wtył posuwać, lecz on nie jest w téj mierze tak bardzo ścisły, i posuwa ją tylko co dwa lub trzy tygodnie podług podania w kalendarzu. Plan godzin na czarnej desce przy uniwersytecie, ułożony jest podług *ora italiana*; lecz przy niéj wisi tablica, na któréj wyrażono: *Ave Maria* i które od jednego aż do drugiego dnia przeznaczone jest na godzinę piątą po południu, od tego zaś aż do owego dnia na kwadrans na szóstą i t. d. — Dla mieszkańców miast, którzy wschodzącego słońca nigdy nie widzą, a rzadko kiedy słońce zachodzące, i u których noc dniem, a dzień nocą się staje; dla tych bezprzecznie dogodniejszym jest nasz sposób liczenia. Jakoż sposób ten coraz bardziéj między Włochami się upowszechnia, podobnie jak i wpływ za-granicy na Włochy z każdym dniem wzrasta. Przeciwnie zaś dla

*) *Felicissima notte!* najszczęśliwszéj nocy! życzy np. znajomy, który nas w wieczór, gdy już zmrok zapadł, odwidza; *felicissima notte* mówi dziewczyna, która nam świecę do pokoju przynosi. Wyraz ten używa się równie tak przy przyjściu jak i przy odchodzeniu.

ludzi w polu zatrudnionych, których praca o zachodzie słońca się kończy, dla włościan, winiarzy, pasterzy, i marynarzy dogodniejsza jest *ora italiana*; zważywszy także i na tę dogodność, iż tam niepotrzeba wymieniać, ażali o godzinie dziennéj albo nocnéj mówimy; co w wątpliwych wypadkach w *ora france* nieraz wymieniać wypada. Na wszelki sposób, włoski podział godzin ma w sobie coś dziecięcego i pięknego; jestto zegar człowieka natury.

Śklanka wody, — dramat napisany przez pana Scribe. Pan Eugeniusz Scribe stawi najjaśniejszy dowód, że nawet najjenijalniejsza krytyka dramatycznemu autorowi bynajmniéj nie zaszkodzi, jeżeli tylko przychylność publiczności zjednać sobie umié. Skoro bowiem pan Scribe jaki nowy dramat napisze, zaraz pan Janin występuje w *Journal des Debats* i dowodzi tak jasno jak słońce, że w tym utworze nie masz ani poezyi, ani rzeczywistości, ani historycznéj powagi, ani prawdy w działaniu. A jednak wszystkie dramata pana Scribego, a to nietylko małe, które w spółce z panami X, Y, Z, ale nawet wielkie, które sam pisze, są bardzo ulubione. Co większa, zdaje się, iż zdatność i sława jego z każdym nowym utworem wzrasta. Najnowsza komedyja w pięciu aktach pana Scribego ma nazwę: Śklanka wody, którą *Comediens ordinaires du roi* na scenie przedstawili. Śklanka wody, którą księżna Marlborough wylała na suknię królowéj Anny, miała położyć koniec panowaniu Marlborougów i wigów w r. 1712 i sprowadzić pokój, który w Utrechcie zawarto, — tak utrzymuje przynajmniéj Wolter a za nim wszyscy historyczni myśliwi, którzy na anegdoty polują. Ta śklanka wody stanowi środkowy punkt rzeczonego dramatu, w którym ze wszech miar historyczne osoby i ich stosunki są powikłane. Królowa Anna, która w roku 1712 miała lat 48, jest tu przedstawiona w całym wdzięku młodości. Lady Masham, spółzawodnicz księżnéj Marlborough, jest przemieniona w malutką Abigail Churchill, w któréj porucznik gwardyi Masham się kocha, sam zaś nietylko panny Abigail, ale nawet królowéj Anny i księżnéj Marlborough serce posiada. Lord Bolingbroke, możny przeciwnik księcia Marlborough, przestać musiał w tym dramacie na podrzędnéj roli intryganta i dziennikarza *à la* Emil Girardin. Z tém wszystkiem dramatyczny ten utwor ma organizm i życie, przenosi nas, chociaż nie w czasy panowania królowéj Anny, to przynajmniéj w nader jenijalną społeczność, która najdelikatniejszemi zwrotami najniebezpieczniejsze skały omijać umié. A to jest rzecz najgłówniejsza, która się teatralnéj publiczności podoba. Publiczność chce sama siebie widzieć na scenie, jednakże chce się widzieć uładuioną, dowcipną, tak, że chociaż sama z siebie się śmieje, ale oraz przyznaje, iż autor wié, że jego publiczność jest światła.

Niebezpieczeństwo wynikające z utrzymywania psów. W pismach nadreńskich czytamy rozporządzenie Elektoratu prowincyi nadheskiéj, w którém rząd zwraca uwagę publiczności na niebezpieczeństwo, jakie z utrzymywaniem niepotrzebnych psów jest połączone. Podług tego uwiadomienia umarło w państwie pruskiém od r. 1810 do 1819 niemniéj jak 1666 ludzi na wściekliznę. Od roku 1816 do 1819 przypada w przecięciu na każdy z tych czterech lat 263 osób, które téj choroby ofiarą padły. Choćby nawet ilość tych nieszczęśliwych była nierównie mniejszą, jednakże los ich jest tak okropny, iż nietylko państwo, ale nawet prywatne osoby wszelkich środków użyć powinny, dla zabieżenia temu nieszczęściu. Jest przeto bardzo słuszną rzeczą, że rząd w Niemczech na osoby utrzymujące niepotrzebne psy podatki nakłada, i tym sposobem utrzymywanie ich utrudnia. Prawda, iż pies jest wiernym towarzyszem człowieka i niejednę wyświadcza mu posługę; ale w społeczeństwie istotnie już ucywilizowaném, wyjąwszy niektóre powołania jak n. p. myśliwca, rzeźnika i t. p. z psa nie wielki mamy pożytek, a wierności jego niewynagrodzą nam bynajmniéj liczne złe przymioty, które jego naturze są właściwe. Z powyższego rozporządzenia przytaczamy jeszcze tę uwagę, iż błędném jest mniemanie, że pies, który wścieklizną ma zarazić, sam wprzódy być wściekłym i ranę zadać musi. Pan Gelcher opisuje dwa przypadki, których niewściekłe psy przyczyną się stały. Pewien młody człowiek, którego ukąsił pies nie wściekły lecz tylko rozdrażniony, umarł wkrótce na wściekliznę. Jeden pies cierpiał wielki ból, że mu wrzód na nodze się zrobił. Nakoniec wrzód rozerznięto i wyjęto zeń żywego robaka, poczém pies wkrótce wyzdrowiał, ale dziecię, które wprzódy ukąsił, umarło na wściekliznę. Nowe doświadczenia usuwają w téj mierze wszelką wątpliwość, że straszna ta choroba nawet bez zakrwawionéj rany się udziela.

Sér dla królowéj Wielkiéj Brytanii. W angielskim dzienniku *The Sun* czytamy: »Sławny dla królowéj Wiktoryi przeznaczony sér, na który 750 krów wydojono, jest już na ukończeniu. Mnóstwo ciekawych odwidza codziennie folwark pana Dunkertona, gdzie ten ser przysposabiają. Dotychczas jeszcze nie wyznaczono dnia, w którym ten dziwny produkt Jéj Król. Mości ofiarować będą; nic także nie wspominają, jakim sposobem ten kolosalny sér do Londynu sprowadzą. Pewna osoba zaproponowała, aby do wozu, na którym go wieźć będą, ośm najpiękniejszych krów z zachodniéj Anglii zaprzężono.«

Pożyteczny złodziéj. Pewien przyjaciel doniósł jednemu bardzo majętnemu, lecz równie lekkomyślnemu hrabiemu i przekonał go o tém naocznie, że jego komisarz go okrada. »Człowiek ten«, rzekł, »zbogaca się twoim majątkiem. A to nie pięknie.« — »Wiém o tém już dawno«, odrzekł hrabia. — »A dla czegoż go nie odpędzisz?« — »Bo go potrzebuję. Od pięciu lat jak mam tego draba w mych dobrach, żyję spaniale, a dochody moje wystarczają zawsze na wydatki. Wie on o tém, że ja aż do pewnego stopnia porządek lubię, i że nigdy nie przeglądam jego rachunków, pod tym jedynym warunkiem, aby kapitałów nie naruszał. Jak on sobie w tym względzie zaradza, to tylko jemu wiadomo. Oszust ten umié doskonale za wielki procent i na pewnéj hypotece lokować moje pieniądze, puszczać w dzierżawę moje dobra, i podwyższać cenę dzierżawy. Szczwany ten lis wydaje wszystkim stronom procesa i wygrywa je tak dalece, że jeszcze nigdy nie byłem tak majętnym jak teraz, gdy się okradać pozwalam. Gdybym zamiast teraźniejszego komisarza miał jakiego poczciwca, jużbym się był zrujnował, albo też ograniczył w moich wydatkach. Ale że mój majątek jest w niejakim względzie i jego majątkiem, dla tego używa on talentu swego i usiłowania, aby nam obom jak największy niósł procent; w téj mierze kieruje nim interes osobisty. Dla tego więc za nic w świecie nie oddalę go z mojéj służby, i obawiam się tylko, aby wkrótce nie uzbierał sobie tyle pieniędzy, iżby się bez służby u mnie mógł obejść.«

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.